XV. Kraków, 1 sierpnia 1912 N-. 15

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 2 korony, 2 marki 25 fen., 1 rbs. 25 kop.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV. ul. Nowowiejska 83 (Dom własny), Telefon Nr. 479.
W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:
Biuro G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.



— Panna Zosia dziwiła się bardzo, proszę pana, jaki wpływ może wywierać światło słoneczne na kawę, ilekroć ją bowiem panu przynoszę, pan zaraz zapuszcza firankę...

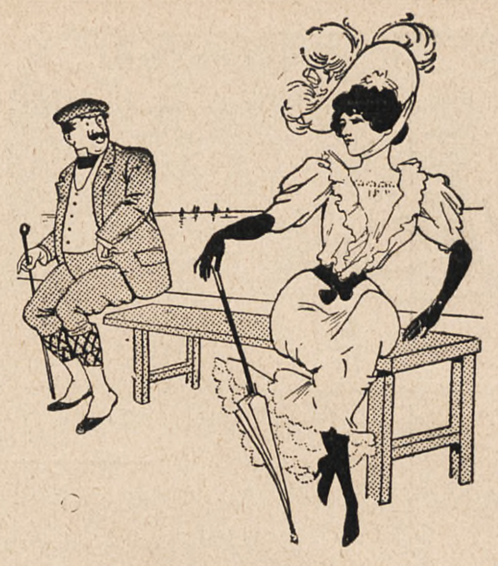


Rady dobrej matki.

Córuś moja ukochana,
Nię strój się za wielę,
Nie rozpuszczaj „tak przypadkiem"
Włosów swych w kościelę...

Na ulicy zbyt wysoko
Nię podnoś sukienki,
Bo to jest nieprzyzwoicię
Dla skromnej panienki...

Przytem córuś pomnij zawszę:
Lepiej ginąć z nędzy,
Niż ofiarą paść faceta,
Co jest bez pieniędzy!...



Słuszna uwaga.

Jaś (którego rodzice podali się właśnie o rozwód — do siebie): Hm! Dziwni ludzie! Wymyślali obydwoje na mnie, co im ślina na język przyniosła, tłukli mnie obydwoje na wyścigi, a teraz sprzeczają się, do którego z nich mam właściwie należeć!...

Nasze dzieci.

— Mamusiu! Nasza nowa bona to widzi i w ciemności!

— A ty jak się o tem przekonałeś?

— Gdyśmy wczoraj siedzieli wieczorem w salonie z wujciem Stasiem, choć lampa była zgaszona, ona rzekła doń: Pfe! Panie Stanisławie! Znowu pan nie ogolony!

Logiczne.

— Co? Ofiarujesz mi na imieniny fortepian? Wiesz przecież, że ja grać nie umiem...

— To nie ma nic do rzeczy! Ty masz przecież i kuchnię, a nie umiesz wcale gotować!

Dowcipny.

Do sklepu korzenno-śniadaniowego przychodzi jegomość, który chciałby nabyć flaszkę, potrzebną mu na coś, ale tak, jak to mówi Rusin: „chytro, mudro, newełykim kosztom"...

Pyta więc subjekta:

— A coby też kosztowała ta flaszeczka?

— To zależy od tego, czy będzie próżna, czy nie! — odpowiada tenże. — Jeśli w niej coś będzie, w takim razie nie policzy się za nią ani halerza!

— Dobrze! W takim razie proszę do niej włożyć korek!

Straszny sen.

Dyrektor monopolu tytoniowego miał onegdaj straszny sen. Śniło mu się, że zbliżają się do niego po kolei wszystkie gatunki tytoniu, papierosów i cygar, a on musi z każdego skosztować... Zimny pot wystąpił mu na czoło, obudził się, ale zaraz kazał podwładnym urzędnikom zabrać się do poprawy jakości c. k. wyrobów tytoniowych.

Różne myśli.

Kląkłem u jej drobnych stópek,
Prosząc, by być moją chciała,
A gdy rzekła „tak", myślałem,
Żem już w niebię jest bezmała.

Dziś, gdy moją jest od roku,
Myślę sobię całkiem szczerzę,
Żę i wielbłąd klęka wówczas,
Gdy na grzbiet swój ciężar bierzę.



Byłby go uratował.

Pan Kleofas zasłabł poważnie na ból w prawej nodze. Wezwany chirurg skonstatował, że jest tylko jeden jedyny sposób wyjścia, to jest amputacya nogi, gdyż inaczej za życie jego nie ręczy... Stało się, jak orzekł Eskulap, po tygodniu jednak cierpienie przeniosło się i na lewą nogę, która także poszła za swą prawą towarzyszką.

Ale i to nic nie pomogło. Tydzień cierpiał biedny pan Kleofas, aż wreszcie przeniósł się na łono Abrahama.

A pan doktor w ten sposób pocieszał strapioną jego małżonkę:

— Ręczę pani łaskawej, że gdybym był mu mógł amputować jeszcze jedną nogę, byłby stanowczo uratowany!...

Zazdrosna.

— Pani radczyni wyrzuciła precz z domu gramofon?

— Tak jest, kochana pani! Niech pani sobie wyobrazi, mąż mój co wieczór grywał na nim jeden i ten sam kawałek... zdaje mi się jakąś aryę z „Cnotliwej Zuzanny", którą śpiewała Miłowska... bo ja tam nie jestem wcale muzykalna — a wczoraj złapałam go na gorącym uczynku, jak całował gramofon! Ja na takie bezeceństwa pozwolić nie mogę w swym domu!

Kłopoty starego kawalera.

— Nie! To doprawdy dziwne! Znowu brak mi guzika przy kamizelce! Jestem pewny, że to robi umyślnie moja gospodyni, aby mnie w ten sposób zmusić do ożenienia się... Bo ona ma córkę na wydaniu!... Ale ja się nie dam!

Woda kolońska a spadek.

(Humoreska).

W ubiegłym miesiącu odwiedziłem swego przyjaciela, z którym przeżyłem wiele wesołych dni i jeszcze weselszych nocy, w małem miasteczku galicyjskiem, dokąd przeniesiono go ze Lwowa jako koncepistę namiestnictwa.

Leżał jeszcze w łóżku, gdym wstąpił w podwoje jego apartamentów, składających się z jednego pokoju, urządzonego bardzo prymitywnie. Łóżko, stół, szafa, dwa stołki, coś w rodzaju umywalni z wiszącem nad nią rozbitem i popstrzonem przez muchy lustrem, to całość umeblowania.

Na owej toalecie, pomiędzy innymi przyborami, zwrócił moją uwagę wspaniały kryształowy flakon ze złotym napisem „Jan Marya Farina". Dziwnie on odbijał od reszty.

Przyjaciel przyjął mnie bardzo serdecznie, gdyż nudziło mu się szalenie na tem, jak sam opowiadał wygnaniu, gdzie nie było nikogo, z kimby można pomówić bodaj parę słów, a urzędowa praca nie absorbuje znów tyle czasu, by reszty nie można poświęcić na przyjemności.

Prosił, bym przyjął u niego gościnę, porządniejszego pokoju nie znajdę bowiem w całem mieście, choćbym się uparł i obiecywał złote góry.

Zostałem więc i rozpoczęliśmy pogawędkę.

Zygmunt, gdyż tak mu było na imię, opowiedział mi swoje dzieje od czasu, gdyśmy się po raz ostatni widzieli, opisał mi miejscowe stosunki i scharakteryzował osobistości, z któremi w czasie kilkoniowego mego pobytu przyjdzie mi się zetknąć.

Dowiedziałem się więc, że starosta miejscowy, człowiek stary już i schorowany, nie udziela się nikomu, codziennie jednak wieczorem urządza u siebie partyę wista, na którą zaprasza młodszych urzędników starostwa i ogromnie się gniewa, jeżeli przegra bodaj halerza, małżonka jego, to chodząca kronika, tak zna stosunki nie tylko w miasteczku, ale i w całym powiecie.

Fizyk powiatowy, zapalony myśliwy, aptekarz, marzący o wynalezieniu *perpetuum mobile*, któreby zapewniło mu sławę i przyniosło dochody, notaryusz, cierpiący na wątrobę i proboszcz, zajęty całą duszą swą owczarnią, ale w ścisłem tego słowa znaczeniu, to osoby, które poznam.

Z sądem nie utrzymywano żadnego stosunku, gdyż między obiema temi magistraturami wyrobiła się z czasem pewna niechęć, starosta bowiem i naczelnik sądu dotknięci byli w równej mierze manią wielkości i jeden nie chciał w żaden sposób ustąpić drugiemu pierwszeństwa.

Podczas, gdy on wtajemniczał mnie w miejscowe stosunki, postanowiłem jakoś takoś ogarnąć się po podróży, zbliżyłem się więc do owej *quasi* umywalni i zwróciłem zaraz uwagę na ów wspaniały flakon.

— Bardzo piękny kawałek — rzekłem od niechcenia — Aron Gajer dałby za to ze trzy korony... Ciekawy jestem ile on też kosztował?

— O dużo! Bardzo dużo! — rzekł Zygmunt ze smutnem westnieniem.

— Może tak z piętnaście koron? — pytałem zaciekawiony.

— Bodajby tylko tyle!... Daleko więcej.

— No, chyba nie więcej jak dwadzieścia koron!

— Dyabła tam! Czy wiesz?... On mnie kosztuje okrągło dwieście pięćdziesiąt tysięcy koron!

— Co? — zawołałem zadziwiony. — Dwieście pięćdziesiąt tysięcy koron?... Czy się przypadkiem nie przesłyszałem?

— Nie, nie przesłyszałeś się wcale!

— To chyba masz bzika, mój przyjacielu...

— Nie, nie mam go wcale, ale niestety miałem go wówczas, gdym go po raz pierwszy zobaczył!

Ponieważ poznał, że zaciekawiło mnie jego opowiadanie, podniósł się na łóżku, założył ręce za kolana, westchnął głęboko i rozpoczął opowieść.

— Jest temu okrągło trzy lata, gdy otrzymałem z domu alarmujący list, w którym mnie ojciec wzywał do natychmiastowego przybycia, gdyż brat mojej nieboszczki matki, uchodzący za człowieka bardzo bogatego, pomimo swych siedmdziesięciu lat żywota postanowił się ożenić z ośmnastoletnią panienką.

Z nauki o truciznach.

— Gdybym była pańską żoną, dawno już byłabym panu dała trucizny!

— I może pani być przekonaną, że gdybym był jej mężem, zażyłbym ją z pewnością!...

Z literatury.

(Podsłuchane w wyższym zakładzie naukowym).

— Jaka zachodzi różnica między powieściami starszej daty a obecnej doby? Proszę, niech mi odpowie panna Mania!

— W dawniejszych czasach bohaterowie powieści albo mieli ze sobą stosunek, u rezultat jego był żywy, albo się żenili i także mieli dzieci. Dzisiaj on ma z nią stosunek, ale bez rezultatu, albo też nie żenią się ze sobą, a mimo to ona ma dzieci...

Przy maturze.

Profesor: Co Szyller prawi o Polikratesie?
Abituryent: ...(milczy)...
Profesor: Chyba abituryentowi znaną jest ta historya z pierścieniem? Co Polikrates z nim zrobił?
Abituryent: Zastawił go!

Przed wyjazdem do Zakopanego.

Mąż: Ależ żono! Pocóż, jadąc na świeże powietrze, zabierasz ze sobą tak drogę koszulę koronkową? Kto ją tam będzie widział...
Żona: Tak? A jeśli w nocy wybuchnie ogień, a ja będę musiała uciekać, to w co się ubiorę?... Ta willa, którą wynająłeś, jest przecież drewniana!





Dziś.

Była szwaczką — biedną szwaczką,
A majątek cały,
Miała tylko w lic rumieńcu,
W oczkach, co błyszczały...

Była szwaczką i nie miała
Włożyć co na siebię,
Żyła biednię, w nędzy prawię,
O wodzię i chlebię.

Była szwaczką, a los zdrowiem
Obdarzył ją hojnię —
Nię wiedziała, co choroba,
Sypiała spokojnię!

Dziś jest damą — wielką damą,
Grosz garściami trwoni,
Lecz jej oczka już nię błyszczą,
Liczko już nię płoni.

Dziś jest damą, no i teraz
Ma co włożyć na się —
Spija tylko koniak, szampan,
Kawiorem się pasię.

Dziś jest damą, lecz ze złotem,
Co los dał jej hojnię,
Wię już teraz, co choroba
I — nię spi spokojnię!...

W magistracie.

Do komisaryatu obwodowego zgłosiła się niedawno pewna służąca z prośbą o świadectwo moralności.

Między urzędującym komisarzem a petentką wywiązuje się następujący dyalog:

— Nazwisko?
— Barbara Kogut...
— Rodem?
— Z Bronowic Wielkich...
— Ile ma lat?
— Dwadzieścia...
— Zamężna?
— Nie panie komisarzu!
— Więc dziewczyna!... Czy masz jakie stałe zajęcie?
— Nie! Tymczasowo jestem mamką u jednego adwokata...

To pytanie.

Pokojówka: Prędko, proszę pani, ktoś idzie!
Panna Lola: Gadaj wyraźniej! Co prędko? Ubrać się, czy rozebrać?...

Na poczcie.

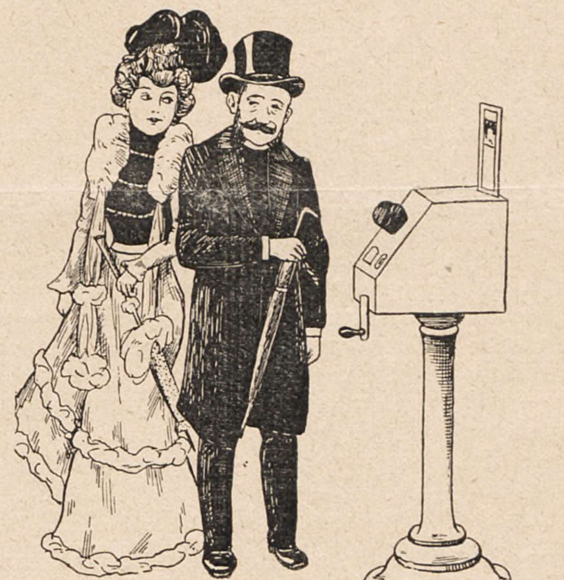
— Ten list jest za ciężki! Trzeba nalepić jeszcze jedną markę!...

— Ależ, wtedy będzie jeszcze cięższy!...

Wie dobrze o tem!

— Która jest główna część składowa scyzoryka?... Jakto nie wiesz? A pocóż twój ojciec nosi zawsze scyzoryk?

— Bo nie ma, proszę pani, korkociąga!



Ja byłem domniemanym jego spadkobiercą, trzeba było ratować, co się da.

Niestety, nie potrafił go nikt z rodziny przekonać, że robi głupstwo, miłość, budząca się w siedmdziesiątym roku życia, nie zna żadnych przeszkód, ani perswazyi.

Na ślubie, który odbył się we Lwowie, nikt naturalnie z rodziny nawet się nie pokazał, bezpośrednio po ślubie państwo młodzi wyjechali w podróż za granicę, skąd mieli powrócić na stały pobyt do majątku wuja pod Przemyślem.

Po jakichś dwu miesiącach zaprosił mnie wuj do siebie na kilkotygodniowy pobyt, ponieważ zaś miałem właśnie urlop, uczyniłem zadość wezwaniu, zwłaszcza, że majątek wuja, dla mnie, jako myśliwego, miał szczególniejszy urok.

Wujostwo przyjęli mnie z otwartemi rękami, wuj może zanadto poważnie, natomiast młoda żona, istotnie cud, nie kobieta, nadzwyczaj serdecznie, jak gdyby chciała mi wynagrodzić tę mimowolną krzywdę, jaką mi wyrządziła.

Patrząc na nią, zrozumiałem, że i wiek nie chroni od nierozważnych kroków, bo i ja, dalibóg, gdybym się był znalazł na miejscu wuja, nie byłbym postąpił inaczej.

Po obiedzie, w czasie którego siedziałem tuż obok mej wujenki i bawiłem ją rozmową, miałem sposobność przekonać się, że jest bardzo rozgarnioną osobą, wuj zaprosił mnie do swego gabinetu na cygaro.

Gdyśmy usiedli, zaczął poważnie:

— Mój Zygmusiu! Ty wiesz o tem, że ja cię kocham, jako jedynego syna mej drogiej Paulisi i że niegdyś przeznaczyłem cię na jeneralnego mego spadkobiercę...

Nie odrzekłem nic na to, on ciągnął po chwili dalej:

— Niestety, poznałem w międzyczasie obecną moją żonę, Kazię, i przekonałem się, że ona darzy mnie prawdziwem uczuciem... Mnie już wiele do życia nie pozostaje, ponieważ zaś nie spodziewam się wcale, bym mógł zostawić spadkobierców w prostej linii...

— W to nikt nigdy wątpić nie powinien, mój wuju — rzekłem z uśmiechem.

— Dobrze ci to mówić! Otóż... powtarzam... ponieważ nie spodziewam się spadkobierców w prostej linii, sporządziłem na wypadek mej śmierci legalny zupełnie testament, w którym żonę moją, Kazimierę, i ciebie, w równych częściach mianuję mymi uniwersalnymi spadkobiercami...

Podziękowałem wujowi i w myśli wybaczyłem mu połowę jego winy, popełnionej wobec mnie...

Całe popołudnie bawiłem w towarzystwie wujostwa, wieczorem wyjechaliśmy razem w pole. Nie odstępowałem ani na krok od tego cudownego zjawiska, wyglądającego jak zaczarowana królewna z bajki, w myśli zazdrościłem staremu piernikowi takiego skarbu i stawiałem się w jego położeniu.

Ale na każde tego rodzaju wspomnienie aż ciarki mnie przechodziły!... A wujenka patrzyła na mnie tak czule, widocznie chciała mi wynagrodzić wyrządzoną krzywdę...

Czułem, że pod jej spojrzeniami rumienię się jak sztubak...

Wieczorem, o godzinie dziewiątej, po lekkiej kolacyi, gdyż na to wujaszek zawsze uważał, by sobie nie przeładować żołądka, bo to ma jak najgorsze skutki, oboje gospodarstwo udali się na spoczynek, ja zaś poszedłem do ogrodu, aby uspokoić nieco wzburzone nerwy...

Mniej więcej po godzinie i ja znalazłem się w przeznaczonym dla mnie pokoju gościnnym, jednak w żaden sposób unąć nie mogłem.

Wtem posłyszałem w sieni jakieś ciche kroki.

Otwarłem drzwi i ujrzałem przed sobą wujenkę Kazię w powabnym szlafroczku, z lichtarzem w ręku.

Wydawała się jakoś zafrasowaną, po chwili jednak rzekła cichutko:

— Jako dobra gospodyni nie mogłam zasnąć spokojnie, dopóki się nie przekonam, czy ci tu czego nie potrzeba... Sądziłam, że jesteś jeszcze w ogrodzie...

— Ach, czemże sobie zasłużyłem na tyle dobroci!...

Weszła do pokoju, rzuciła okiem na toaletę i zawołała z gniewem w głosie:

— Naturalnie! Ach ta nasza służba!... Pokojowa nie dała ci wody kolońskiej! Ale ja przyniosę ci zaraz z mej toalety... Wuj śpi już, jak zabity, nie obudziłbyś go i wystrzałem z armaty...

Humorystyka ogłoszeń.

Swoje dobrze wędzone szynki poleca masarz N. N. w X.

Prawie bezdzietna rodzina poszukuje mieszkania od pierwszego września...

Mój własny *potomek*, gniady ogier, zaraz z wolnej ręki do sprzedania.

Mój lokaj, Kuba Gąsior, wydalił się potajemnie z mieszkania. *Nie zabrał ze sobą żadnej garderoby, tylko dużą torbę skórzaną.*

Poszukuję niańki do mojej nowonarodzonej córeczki, która umie szyć i naprawiać pończochy.

W zakładzie dla obłąkanych w Kulparkowie obchodził w ubiegłym tygodniu pewien chory trzydziestoletni jubileusz pobytu tamże. Przy tej sposobności złożył mu dyrektor zakładu *serdeczne gratulacye.*

Delikatna wskazówka.

Pan Stanisław odwiedza swych przyjaciół, państwo Kamilów i unosi się nad mądrością ich pierworodnego, liczącego już rok życia.

— Co za sympatyczne bobo!... Wykapany tatuś!... A czy umie już mówić?

— Tak jest! Dopiero jedno słowo „dziękuję“, gdy mu ktoś włoży jaki pieniądz do jego skarbonki!

Filolog.

Pewien akademik, poświęcający się studyom filologii klasycznej, odwiedza swą przyjaciółkę, adeptkę sztuki dramatycznej.

— Przepraszam, czy można? — pyta uchylając drzwi.

— Nie! — dochodzi go głos z wnętrza.

— A czy mnie pani przyjmie?

— Nie! — brzmi energiczna odpowiedź.

Nie czekając dłużej, pakuje się do środka, gdzie go właścicielka mieszkania przyjmuje z miną nieboszczki Ksantyppy, załatwiającej z ś. p. Sokratesem małżeńskie porachunki.

— Jak pan śmiesz? — woła zaperzona. — Czy nie mówiłam, że nie można...

— Tak, łaskawa pani — odpowie filolog ze spokojem — powiedziała pani *nie,* ale dwa razy, wiadomo zaś z gramatyki łacińskiej, że dwa przeczenia *dają zawsze silniejsze twierdzenie.*

Albo—albo.

Raz siedziałem — gdzię to mniejsza,
Dość, żem siedział sam na sam
Z młodem dzieckiem najpiękniejszem,
Jakię do tej chwili znam...

W pokoiku było cicho,
Muchy mógłbyś słyszeć brzęk,
Dreszcz mnię przeszedł raz i drugi,
Sercę dziwny też zdjął lęk...

Dreszcz jej postać takżę przeszedł,
Dała rączkę w moją dłoń,
Zapłoniona, drżąca wsparła,
Na mę piersi swoją skroń...

Potem wstała i szepnęła,
Z jakimś dziwnym blaskiem ócz,
Albo idź pan sobię zaraz,
Albo zamknij drzwi na klucz...



W podróży poślubnej.

On: Jak sądzisz żonusiu, możebyśmy stanęli w Hotelu pod „Czarnym Orłem“?

Ona: (patrząc do Bädekera). Lepiej nie! Słuchaj co tu napisane: „Zimne i gorące kąpiele w hotelu. Pod osobistym dozorem właściciela“. To byłoby dla nas zbyt krępujące!

Przy wynajmie mieszkania.

Akademik: A mąż pani dobrodziejki czy jeszcze młody?

Pani domu (nie dosłyszawszy): Rzadko!

Z manewrów.

Podczas tegorocznych ćwiczeń rezerwistów, pan Chaim Kohn, rezerwowy porucznik, otrzymał od kapitana polecenie, aby przeprowadził kompanię w kierunku północnym przez las, gdyż w tem miejscu miano się spotkać z resztą pułku.

Pan Chaim Kohn salutuje i odbiera z rąk kapitana busolę.

— A potrafisz się pan z nią obchodzić? — pyta kapitan.

— Dlaczego nie? Niech się pan kapitan nie boi — ja jej nie potłukę, ani nie zepsuję...

Rozpoczął się forsowny marsz, kompania po dwu godzinach znajduje się na brzegu lasu, ale nie w tem miejscu, które było oznaczone, ale o jakie pięć lub sześć kilometrów na zachód.

Na czele kroczy ciągle pan Chaim Kohn z busolą w jednej ręce, z mapą jeneralnego sztabu w drugiej...

Kapitan, rozejrzawszy się w sytuacyi i widząc pomyłkę, woła zaperzony:

— Panie poruczniku! Jak pan prowadziłeś?

— Ciągle na północ... — odpowiada Kohn.

— Pokaż pan busolę!

Pan Chaim Kohn pokazuje, kapitan widzi, że igła magnetyczna jest ustalona...

— Ależ... Igła nie porusza się swobodnie...

— Ja ją umyślnie ustaliłem — odpowiada zadowolony ze siebie porucznik — bo ogromnie kiwała się podczas marszu, a ja bałem się, by przypadkiem nie spadła... Potem byłby się pan kapitan gniewał!...

Miodowe miesiące.

— Więc byliście we Włoszech?

— Nie! Nie mogliśmy dostać w wagonie sypialnym osobnego przedziału, woleliśmy więc zostać w domu!

Willa nad brzegiem.

— Oglądałem właśnie pańską willę, która ma leżeć nad brzegiem jeziora, najdalej na jedno rzucenie kamieniem...

— No i...?

— No i nic! Chciałbym teraz widzieć jeszcze tego, kto tak potrafi kamieniem rzucać... Wziąłby z pewnością pierwszą nagrodę na igrzyskach olimpijskich...

Pociecha mamina.

Ojciec: Jeśli, smarkaczu jeden, do południa nie nauczysz się zadanej lekcyi, nie dostaniesz obiadu! Możesz być tego pewnym, jak tego, że jestem twym ojcem!...

Matka (z uśmiechem): Bądź spokojny, Stefciu, dostaniesz obiad!

Wujenka Kazia zniknęła, po chwili zjawiła się znowu z tym właśnie flakonem, który stoi teraz na mej umywalni...

. . . .

Coś w dwa, czy trzy miesiące później, kochany mój wujaszek, objadłszy się baraniny, którą bardzo lubił, przeniósł się do wieczności.

Oddałem mu naturalnie ostatnią posługę i zauważyłem przy tej sposobności, że wujenka moja, choć wobec mnie bardzo uprzejma, traktuje mnie przecież z pewną wyniosłością. Sądziłem, że wpłynęła na nią może powaga chwili...

W dwa dni po pogrzebie udałem się do sąsiedniego miasteczka do notaryusza, aby się z nim porozumieć w kwestyi spadkowej. Tak drażliwa materya nie nadawała się do poruszenia w rozmowie z wujenką. Wiedziałem przecież, że u niego złożony jest testament mojego wuja. Pisał mi zresztą o tem także i mój ojciec.

Rejent przyjął mnie bardzo grzecznie, ale równocześnie zawiadomił mnie, że testament mianuje mnie wprawdzie spadkobiercą połowy majątku, ale tylko w tym wypadku, gdyby wuj mój nie pozostawił prawowitych sukcesorów.

A tymczasem żona jego, a właściwie wdowa, pani Kazimiera, jest obecnie w stanie poważnym...

Rejent zakończył swój wywód:

— Przekonałem się ze swej długoletniej praktyki urzędowej, że ilekroć stary mężczyzna poślubi młodą a przystojną panienkę, małżeństwo takie zazwyczaj nie jest bezdzietnom!...

Wściekłość mnie ogarnęła i prawdziwie szewska pasya. Zirytowany byłem na wuja, wujenkę, jej przyszłe potomstwo, najbardziej naturalnie na samego siebie.

Po powrocie do domu chciałem w pierwszej chwili rozbić stojący na mej umywalni flakon wody kolońskiej, który ongiś zachowałem jako miłą pamiątkę pierwszego mojego pobytu u wujostwa, rozmyśliłem się jednak i dałem mu spokój.

Cóż on winien?... Nic!... W każdym razie to obecnie najdroższy przedmiot w mem kawalerskiem urządzeniu, kosztuje mnie równo ćwierć miliona koron...

Zygmunt otarł kroplisty pot, który wystąpił mu na czoło, westchnął ciężko, a ja z współczuciem uścisnąłem go za rękę.

* * *

Po powrocie do Lwowa, dziwnem zrządzeniem losu poznałem panią Kazimierę, bardzo ponętną wdówkę, która przeniosła się właśnie do miasta, gdyż, jak twierdzi, pobyt na wsi zbyt boleśnie przypomina jej nieboszczyka męża.

Spotkaliśmy się u wspólnych naszych znajomych.

Ogromnie podobał mi się jej maleńki synek, bardzo sympatyczne bobo, ubóstwiane wprost przez mamę.

— Jak mu też na imię? — zapytałem.

— Jan Marya... — odparła szczęśliwa.

— Zapewne tego rodzaju imiona nosił któryś z jego przodków po mieczu lub kądzieli? — zauważyłem mimochodem.

Pospieszyła zaraz z odpowiedzią:

— Nie, proszę pana... Nadałam mu to imię, aby uczcić pamięć Jana Maryi Farina, wynalazcy wody kolońskiej, której jestem namiętną wielbicielką!...



Ostatnie wiadomości.

Donoszą nam z Zakopanego o nowej katastrofie, która poruszyła umysły i kto wie, czy nie skończy się tragicznie...

Panna Mężolubska wybrała się na wycieczkę w liczniejszem towarzystwie, które rozbiegło się w różne strony, jedni za szarotkami, inne w poszukiwaniu rydzów, które zwłaszcza w tej okolicy są najsmaczniejsze.

Pozostawszy sama, zaczęła się drapać koło Zaroślaka. Przechodzący właśnie tamtędy pan Ostromęski, widząc, że nie posiada w tym celu dostatecznych sił, postanowił jej dopomódz. Ofertę przyjęła z wdzięcznością, odtąd jednak wszelki słuch o niej zaginął.

Fakt ten wywołał w Zakopanem ogromne zainteresowanie, szczególniej płeć piękna jest zaciekawiona, zwłaszcza, że i pan Ostromęski dotąd jeszcze nie powrócił.

Choreografia święci obecnie niebywałe tryumfy. Widzieliśmy już na scenie walce, polki, mazury, widzieliśmy nokturny i całe tragedye, oddane przy pomocy nóg z takim naturalizmem i wdziękiem, nie widzieliśmy dotąd jednak rzeczy praktycznych, które, zwłaszcza w dzisiejszych ciężkich czasach, mogłyby przydać się nam na co. Dopiero w najbliższej przyszłości, dzięki staraniom miejskiej komisyi aprowizacyjnej, zaprodukuje się na deskach Starego Teatru, znana nasza bosonoga tancerka, panna Podskakiewicz, która odtańczy niektóre przepisy z książki kucharskiej, wydanej ongi przez ś. p. Ćwierciakiewiczową. Na pierwszy popis wybrała znakomita artystka: cielęce nóżki z marchewką, fasolkę szparagową na kwaśno i rozbratel z cebulą.

Ze sfer kompetentnych zwracają naszą uwagę, iż niesłusznem jest twierdzenie radcy Konopińskiego, jakoby zmniejszył się w Krakowie ruch przejezdnych. Owszem rzecz ma się zupełnie przeciwnie. Zwłaszcza w nocy i w drugorzędnych hotelach jest on coraz większy, a to dzięki sympatycznym zwierzątkom, zwanym pluskwami, które nie pozwalają nikomu zasnąć spokojnie, a tem samem przyczyniają się do zwiększenia ruchu. Hotelarze starali się już o wytępienie radykalne owego żywego inwentarza, sprzeciwili się temu konserwatorowie i Towarzystwo miłośników przeszłości Krakowa, utrzymując całkiem słusznie, iż w ten sposób może miasto bardzo łatwo utracić swój średniowieczny charakter.

Dyrekcya wystawy architektonicznej donosi, że ostatecznego ukończenia robót wystawowych spodziewać się należy stanowczo około trzydziestego pierwszego października bieżącego roku. Zamknięcie wystawy nastąpi z dniem 15-go października tegoż roku. Twierdzenie, jakoby tani dworek przedmiejski miał kosztować aż pół miliona koron, jest z gruntu fałszywem, koszta zakupna nie przeniosą stanowczo dwustu tysięcy.

Wojny nie będzie! Widzimy to dokładnie ze sprawozdania miejskiego urzędu statystycznego, które podaje wyraźnie daleko większą liczbę narodzeń osobników rodzaju żeńskiego. A znak to zupełnie pewny.

Onegdaj widziano w Krakowie u Hawełki pewną sufrażystkę z bombą w ręce. Prawdopodobnie chodzi tu o zamach na ministra. Policya jest na tropie.



Serenada.

Cudna, jasna noc majowa,
Cicha, tęskna jak marzenie,
Rozpostarła swoje cienie
Nad murami miasta Lwowa!
Wietrzyk muska senne drzewa,
Pusto, cicho na ulicy,
Tylko świeci „Srebrnolicy“,
Tylko w gąszczu słowik śpiewa!

W tę noc jasną, noc majową,
Don Joseppo rozmarzony,
Upojony, osrebrzony
Jasną smugą księżycową,
Szedł pod okna swej wybranej —
I... gdy słowik pieśń miłosną
Nucił — ot — jak zwykle wiosną —
Don Joseppo, mgłą owiany,
Pod bialutką willę nizką
Otoczoną bzem, różami,
Szedł w tęsknocie i ze łzami,
Aby lubej swej być blizko!!
Don Joseppo w drżącej dłoni
Trzyma dźwięczną mandolinę!
Ma natchnioną wieszcza minę,
Tęsknem okiem w przestwór goni!!
Wnet... z pod jego męzkiej ręki
Władającej mandoliną,
Do okienka... rzewne płyną
Erotycznej pieśni dźwięki!
A ponad nim — na pieśń czuła
Jego donna ubóstwiana,
Dźwiękiem pieśni kołysana,
Złotych marzeń przędzę snuła!!...
Więc „bard“ śpiewa: „Moja miła,
Droga donno Estephanio,
(Śpiew był jego wielką manią!)
Obyś zawsze słodko śniła!
Wzleć myślami, gdzie gwiazd roje
W niezgłębionej świecą toni!
Niech Ci słodkiem echem dzwoni
Uwielbienie szczere moje!
Uleć w złotych snów krainę!
Główkę owiń w marzeń tęczę!
A na ziemię — gdzie się męczę,
Gdzie z tęsknoty mrę i ginę —
Zejdź dopiero z brzaskiem słonka,
W mgłę różową otulona,
Blaskiem zorzy ozłocona,
A witana przez skowronka!!“...

— — — — — — — — — — — — —

Dźwięczą struny w mandolinie,
Słowik milknie — szemrzą drzewa,
Don Joseppo dalej śpiewa!
Rzewna piosnka dalej płynie!
Don Joseppo wniebowzięty,
Zakochany „bard“ natchniony,
W okna wpatrzył się zasłony,
Śpiewa dalej hymn zaczęty!
Hymn żałosny, hymn wspaniały,
O kochanku i wybranej,
O gołąbce zabłąkanej,
O serc dwojgu, co kochały!!

— — — — — — — — — — — — —

Wtem... O nieba! Przez firankę
Coś majaczy!... Jakaś postać!
Czy uciekać?? Nie! Nie! Zostać!
Zostać! Ujrzeć swą bogdankę!
Pewnie na dźwięk mandoliny
Otworzyła cudne oczy?!
Pewnie „barda“ głos uroczy
Sen odpędził z ócz jedynej!??...

— — — — — — — — — — — — —

Boże!! Wznosi się zasłona
Nad okienkiem! Błoga chwila!
„Donna“ okno już uchyla!!
Staje w bieli!! Tak... to ona!!...

— — — — — — — — — — — — —

Struny milkną! W cudnej bieli
Staje postać białogłowy
I... przemawia temi słowy:

— — — — — — — — — — — — —

„A bodaj was dyabli wzięli!
Co ja z wami mam już! Rety!
„Furt“ śpiwają, taj śpiwają,
Człowiekowi spać nie dają
Bez noc — durne te facety!!“...

— — — — — — — — — — — — —

Przy tych słowach... z jakiejś wazy
(Do dziś nie wiem, co to było!)
Jak nie chluśnie — że aż miło,
W oczy „barda“ ze trzy razy!!...
Wreszcie babsko w strasznej złości
Trzasło oknem!!...
Szyby jękły...
W mandolinie struny pękły!
Don Joseppo... dostał mdłości!!...

— — — — — — — — — — — — —

Cudna, jasna noc majowa,
Cicha, tęskna jak marzenie,
Rozpostarła swoje cienie
Nad murami miasta Lwowa.

W tę noc jasną, noc majową,
Don Joseppo zamoczony,
Zaperzony, rozwścieczony,
Szedł do domu... biegł nerwowo,
Biegnąc tłumił gniew swój wielki,
Za tę napaść, tak zdradziecką!!

— — — — — — — — — — — — —

Biegł do swojej... (na Gródecką)
Kawalerskiej, małej celki!...



— Sądzę jednak, że powinieneś mi kupić złoty zegarek, mogłabym się bowiem spóźnić na umówioną schadzkę!



— Pisze mi mój baron, że nie może dłużej żyć bezemnie!

— Biedak! Zapewne nikt mu już nie chce pożyczyć ani grosza!



— Wielmożny pan musi się stanowczo pogodzić z panią!... Ta zadąsana jej mina denerwuje mnie po prostu!



— Zośka, słyszałam w antrakcie, jak mówiłaś do tego zamyślonego bruneta „per ty“, a utrzymywałaś przecież, że go nie znasz zupełnie!

— Tak... ale to było przedwczoraj!...



— O pani! Jakże chętnie złożyłbym swą głowę na twych piersiach!

— Obejdzie się! Nie znoszę widoku księżyca w pełni!



— Ja jestem także znakomitym znawcą ludzi... Wystarczy mi porozmawiać z kobietą przez pięć minut, a już wiem, co ona o mnie myśli...

— To nie musi być dla pana wcale przyjemnem!



— I wyobraź sobie moja droga, na domiar wszystkiego powiła mi żona jeszcze trojaczki...

— Ty rozrzutniku!...



— Więc Karol wie o tem, że prócz niego masz jeszcze jednego wielbiciela?... I cóż on na to?

— Nic! Wyobraża sobie, że jest żonaty!



Ferdek Eleuteryk.

Niech żałuje, kto nie był teraz w Krakowie siedzoncy, bo byłby widził, jak sie wieża Maryjacko fajczyła. Jo ta, prowde mówioncy, nie byłem tygo na własne kapowidła oglondajoncy, bo trenowołem sie właśnie w eleuteryczności, aby być na lwowskim zjeździe godnie Kraków repryzentujoncym.

Narobili szmaciorze z onygo pożaru takigo gwałtu, że myślołeś, że to cały Kraków jest już w ogniu, tymczasem tak nie było. Dwie bomby piwa, chciołem rzeknonć dwie kworty wody wystarczowały na zalonie całygo nieszczyńścia...

A potym mieliśmy śtrejk parzypysków, którzy chcieli zrobić leworucyjom i przestali pitrasić. Rondle i patelnie poszły na kołek, zaczeny sie pertraktacyje, z których najlepij wyszli śtrejkujoncy, nic nie stracili właściciele różnych kirni, a najgorzyj wyszli tak zwani konsumenci, to jest my we własnych swych osobach, którzy tam musimy nadziwać swe maćki różnemi dobremi rzeczami, jakichby i pies nie chcioł spróbować.

Parzypyskom podwyższono wynagrodzynie, ale zato zdrożały wszyćkie potrawy bodaj o pinć grajcarów, wienc onom poprawe ich bytu zapłaciliśmy z własnyj kabzy, a nie resteuratorzy, którzy właściwie majom jeszcze prefit z onygo jenteresu, bo dejmy na to, dadzom mistrzowi od rondla o pincdziesiont korunek na miesionc wiencyj, a z onygo podwyższynio cen zostanie im w dolinie przynajmnij z pincset blatów.

Bo trza wiedzieć, że równocześnie z podniesieniem cen potraw zmnijszyły sie ich rozmiary, bifsztyk wyglondo teraz jak troche wienksza pigułka, którom kużdy na jeden roz może być połykajoncy.

Resteuratorzy proszom wienc Pana Boga, aby parzypyski czenścij urzondzały takie śtrejki, to oni bedom mieli sposobność podnoszynio cen i zmnijszanio porcyji. Dońdzie do tygo, że kto bedzie chcioł pomyśleć naprzykład o gulaszu, bedzie musioł zapłacić dwie szóstki, za zobaczynie go trza bedzie wybulić trzy szóstki, za powonchanie cztyry, a za porcyjom, składajoncom sie z kawołka jakigo flaka z jednym skołczałym zimniokiem, to podlane jakomś bryjom, co sie nazywo sos, płać korunke, abo wiencyj.

Myślołem, że skróś tygo śtrejku odzwyczaji sie naród od żarcio, ale dyabła tam. Kużdy paminto o swym bandziochu wiencyj, niż o zbawiniu swyj duszy, bo jest zapominajoncym, że obżarstwo jest grzychem, za który bedziesz sie smażyć w ogniu piekielnym, jak nieprzymirzajonc jakowyś rozbratel...

Najmondrzyjsze to byli ci, co pedzieli, że ten śtrejk parzypyskoski zrobiuł anarchista, doktór Wróbleski, który, jako że som nie jest jedzoncy, chciołby, aby to samo robili i inni. Zahatrzyły go tyż sułany do ula, ale on sie upar i nie przyjmowoł pokarmów ani tyndy, ani tamtyndy.

To jest dopiro prawdziwy śtrejk! Jobym tygo nie potrafiuł!

Trzeba było pojechać wreście do Lembergu, gdzie sie odbywoł zjazd takich, co to nie pijom, nie palom i nie ten tygo, ale tylko wtedy, jak kto patrzy. Jeśli nikt nie widzi, to można skirzyć sie, jak król Bela, abo jenszy Faraon.

Z Krakowa było wincyj deligotów, nie tylko jo jeden, zbirali my sie tyż na tajne posiedzynia na przemian roz u Szkowrona, drugi roz u Musiała, abo i gdzieindzij, ale musze z renkom na sercu być przyznajoncy, że lwowski pilzner ani sie umył do krakoskigo. Być może z tygo powodu, że woda z Pełtwi nie jest tako dobro, jak krakosko wodociongowo.

Mnie wybrano prezysem honorowym, choć Wicek Socyjalik chcioł sie zabawić w Puzyne i rzeknon: weto! Chcieli go za to wyloć za drzwi, ale dali mu spokój, bo na to nie pozwalajom względy gościnności.

Rusiny w zjeździe nie byli udziału bieroncy, bo, jak powiadajom — i majom recht — oni z eleuteryjom i jenszemi podobnemi rzeczami nimajom i nie chcom mieć nic wspólnygo.

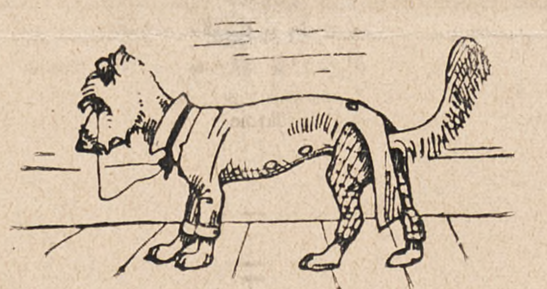
Kuniec kuńcem szynkorze lwowscy zrobili klawy jenteres, godajom, że jesze nigdy nie sprzedali tyle tronkowości, co właśnie w czasie tygo zjazdu.

Opowiadoł mi jeden z nich:

— Wi pon, panie Ferdek, jo ta chce mieć ino z eleuterykami do czyninio! Przyńdzie mi taki zwyczajny gość do lokalu, wypije kieliszek wódki za sześć hoków, nazawraca mi głowy, opluje podłoge, wyczyto gazety i siedzi dwie godziny przy tym... Co inszygo eleuteryk. Ten wpadnie do sklepu, jak po ogiń, kupi całom flache morelówki, abo inszyj (ale oni wolom słodkom tronkowość), schowo pod surdut, obglondnie sie, czy go kto nie widzi, zapłaci, wiele zażondom (żoden z nich sie nie targuje!) i zmyko, jakby go kto goniuł... Mondry to był chłop, ten co wymyśluł eleuteryje...

Pomyślołem sobie, mo czlek racyje... Gdyby nie eleuteryjo, toby Kulczyńskie, Urbany i inne Gawlasy nie robiły takich brylantowych jenteresów!

A bedom robić jeszcze lepsze, bo Rada mijsko krakosko uchwalowała na ostatnim posiedzyniu przed wakacyjami zaciongniencie nowyj dziesińciomilijonowyj pożyczki na różne klajnigkeity, to sie tyż i kużdemu z nas z tygo coś okroi. Co daj Panie Boże. Amyn.



Co widział promień słońca?

Wstało słońce — promień złoty
Posłało z okienka,
Kędy, marząc o swym chłopcu,
Leżała panienka.

I panienka do słoneczka
Rzecze wpół przytomnie:
„Idźno zobacz, czy mój luby
Spi, czy myśli o mnie?“

Słońce zaś ucałowało
Panienki oczęta
I wróciło na poddasze
Zobaczyć studenta.

Lecz cóż tutaj zobaczyło?
Poświeciwszy troszki?
Rozrzucone na podłodze
Gorset i pończoszki!...

Icek i Mojsie.

(Dyalog).

— Gdzie twój tate był tego roku na świeżem powietrzu?

— W Karlsbadzie!... A twój?

— Mój był tam także!... Musieli się widzieć!

— A co tobie przywiózł stamtąd? Mnie scyzoryk. Na nim jest napisane „Karlsbad“.

— A mnie srebrną łyżkę. Jest na niej także napisane „Karlsbad“, ale nie pamiętam już, jaki hotel...

Mądre myśli zakatarzonego.

Darowanemu koniowi nie zaglądaj w zęby. Gdzieindziej, możesz, ale uważaj, aby cię nie kopnął.

Mądrzejsze jajo od kury, bo wie, którędy ma wyleźć.

Kochaj ile masz sił, ale nie proś nigdy przyjaciół o pomoc.

Uderz w stół, a będzie cię ręka boleć z pewnością.

Miłość jest nieprzyjaciółką cnoty.

Jak silnymi byliby mężczyźni, gdyby nie było obok nich słabych kobiet.

Upadła kobieta stoi często najlepiej.

Jeśli chcesz mężatce zrobić prezent, pożycz sobie w tym celu pieniędzy od jej męża. Oddawać nie potrzebujesz, i tak zostają w rodzinie.

Radziłbym każdemu wyszukać sobie taką narzeczoną, która zadowala się *prawdziwą* miłością, a *fałszywymi* klejnotami.

Najcięższe przeszkody potrafi członek Klubu jazdy panów brać przy pomocy pieniędzy.

Gadatliwość jest obrzydliwą wadą, nie mów też nigdy nic o twym bliźnim, szczególniej zaś nic dobrego.

Dyskrecya przedewszystkiem! Nie opowiadaj nigdy swej ubóstwianej, że z inną utrzymujesz stosunek.

Zakazane przejścia mają najczęściej najwięcej zwolenników.

Miłość w podeszłym wieku, to bardzo kosztowna zabawka.

Szczęście jest ślepe, powiadają ci, którzy go znaleźć nie mogą.

Nie wygadaj się przypadkiem, że utrzymujesz stosunek z mężatką, a już ani słowa nie mów o tem jej mężowi.

Obrzydliwą jest rzeczą igrać z uczuciami kobiety... Poważny człowiek robi wszystko na seryo.

Jeśli narzeczona *coś ci wyrzuca*, można to znieść ostatecznie, jeśli jednak *czemś za tobą rzuca*, puść ją w trąbę!

Miłość to słabość, która z zasady źle się kończy: niewiernością lub małżeństwem.

Małżeństwo to dodawanie, lub mnożenie, niestety jednak, również często reguła trzech.

„Moja córka nie wie jeszcze o niczem“ powiada niejedna matka, ale zapomina, że i to jest bardzo niebezpieczne.

Także i *dobrodziej* może *źle* nieraz uczynić.

Wiele kobiet nienawidzi pieniędzy, lubią jednak tego, który je daje.

Dla mężczyzny jest miłość sztuką, dla kobiety zazwyczaj rzemiosłem.



Cnotliwa Zuzanna.

(Wyjątek z pamiętników słomianego wdowca).

Sobota: W domu rozgardyasz, niczego znaleźć, ani o nic się doprosić. Mieszkanie wygląda, jak po najściu Tatarów. Nic w tem dziwnego, żona wyjeżdża na świeże powietrze i wybiera potrzebne rzeczy. Obiad i kolacyę jadłem na mieście.

Niedziela: Dziś rano wyjechała żona na wilegiaturę. Zabawi tam trzy tygodnie. Odwiózłem ją na kolej, bagaże, jakie ze sobą zabrała, zmieściły się zaledwie na trzech fijakrach. Pożegnaliśmy się czule. W chwili rozstania się przypomniała mi jeszcze raz przysięgę wierności małżeńskiej, którą przed laty złożyłem jej przed ołtarzem. — Za kogóż mnie masz?... — zawołałem z udanem oburzeniem — chyba nie wątpisz o mnie!... Zdaje mi się, że uwierzyła, albo może udaje tylko, że wierzy.

Poniedziałek: No, nareszcie człowiek sobie odpocznie. Trzy tygodnie zbiegną bardzo prędko! Trzeba się spieszyć. Dziś idę na „Cnotliwą Zuzannę“. Podobno bardzo moralna i pouczająca sztuka. Pierścionek ślubny na wszelki wypadek zostawię w domu, aby nie zginął.

Wtorek: Bawiłem się doskonale! Wróciłem dopiero rano, zdaje mi się jednak, że stróżka mnie nie widziała. Ta szelma widocznie mnie szpieguje, ale ja już dam sobie z nią radę. Obiecałem jej, że jeśli będzie się dobrze sprawować, tak, że będę z niej zadowolony, postaram się o przyjęcie jej męża do kolei.

Środa: W jednym dniu nie jesteś w stanie zdać sobie sprawy z tak pięknej rzeczy, jak owa „Cnotliwa Zuzanna“, ani dokładnie poznać intencyi autora. Ach ta Miłowska! Gdybym tak był kawalerem, a ona panną, ożeniłbym się z nią bez wahania... Jak ona gra tę Zuzannę!... Swoją drogą Heller, to nie Solski, on wie, co się narodowi podoba!... A kogo w teatrze nie było!... Profesorowie, radcy, adwokaci, przeważnie słomiani wdowcy... a jak to wszystko klaskało zawzięcie... Człowiek poczuł, że krew mu jakoś inaczej porusza się w żyłach... Byłbym zapomniał dodać, że ta Marysia z przeciwka, która służy u radcy, to bardzo sympatyczna dziewczynka, zdaje mi się, że zrobiłem na nią wrażenie... Jakoś tak dziwnie patrzy, ile razy mnie spotka.

Czwartek: Wczorajszy wieczór spędziłem w domu. Przypadkowo zeszedłem się w sieni z Marysią i prosiłem ją, by mi przyszyła guzik do kamizelki. Powiedziała, że zazaz przyjdzie, tylko klucz odniesie do stróżki, bo radcostwo wyszli na spacer... Bardzo zgrabna z niej szwaczka. W rękach się jej po prostu pali... Muszę namówić żonę po powrocie, by ją do nas zgodziła do służby... A może to nie wypada odmawiać sługę sąsiadom?...

Piątek: Wczoraj przyszyła mi Marysia drugi guzik... Dziś była daleko swobodniejszą... Obiecałem jej kupić za fatygę żółte pantofelki, ale jeden tylko dam jej zaraz, a drugi dopiero na dzień przed powrotem mej żony.

Sobota: Jak się powiedziało, tak się stało! Dziś Marysia dostała jeden pantofelek. Dziwiła się, dlaczego zatrzymuję u siebie ten drugi. Co ten Wicherkiewicz narobił najlepszego z tym swoim listem otwartym o „Cnotliwej Zuzannie“. Nasze żony gotowe myśleć, że to jakieś bezeceństwo... Kto go prosił, by szedł do teatru?... Ja się najpierw dowiaduję o treści sztuki, potem dopiero idę, nie potrzebuję się więc irytować. Gazety tej żonie nie posłałem.

Niedziela: Dziś Marysia przyszła się upomnieć o drugi pantofelek, powiedziałem jej, że może jutro. Żal mi było biednej dziewczyny, chciała się w nich popołudniu sprezentować koleżankom. Ale ja jestem człowiekiem twardych zasad...

Poniedziałek: Od samego rana miałem szalonego pecha. Widocznie wstałem lewą nogą... Ledwie się obudziłem, ktoś puka... Byłem pewny, że to Marysia przychodzi się upomnieć o drugi pantofelek, tymczasem był to egzekutor, który zafantował mi fortepian za zaległy podatek. W biurze szef mnie zbeształ, potem wlazłem w samą gębę Ludwikowi, któremum winien dwieście koron... Ciekawym, co mnie przyjemnego spotka jeszcze do wieczora.

Wtorek: Obym się był raczej nie rodził! Popołudniu wczoraj, gdy mi Marysia właśnie przyszywała guzik, ktoś puka... Miałem złe przeczucie, jednak otworzyłem... O mały figiel, że piorun we mnie nie strzelił!... To była moja rodzona żona, która niespodziewanie wróciła do domu... „Byłeś na Zuzannie?“ zapytała zaraz na wstępie. — Byłem! — Bo i czegóż się wypierać... „A ty bezbożniku!...“ Dzięki Bogu, Marysia, poczuwszy pismo nosem, ulotniła się do przedpokoju, a stamtąd do swego mieszkania. Ale zato znalazła żona koło otomany damską podwiązkę, a w swej szafie żółty pantofelek, starannie owinięty w bibułkę...

— Co to znaczy? — zawołała.

— To, widzisz, pantofelek, którym ci chciałem zrobić niespodziankę!

— Mnie? Przecież wiesz, że mam daleko większe nogi! Zresztą jest tylko jeden...

— Tak, bo to nie na nogę, tylko na zegarek nad łóżko!

Jakoś nie chciała uwierzyć.

— No, a ta podwiązka?

— To zapewne stróżka Franciszkowa zgubiła rano przy sprzątaniu...

— Dowiem się o tem!... A teraz pędź zaraz do kasy zamówień i kup mi bilet na „Cnotliwą Zuzannę“!... Bez niego się nie pokazuj!

. . . .

Dobrze, że przynajmniej tak się skończyło! Boże! Co ten Wicherkiewicz narobił nam, słomianym wdowcom!...



Jak kto się zachowuje wobec zdrady ze strony żony.

Lekarz zaprzestaje dalszych konsultacyi.
Adwokat znachodzi powód do skargi.
Bankier wypowiada kredyt.
Aktor urządza sceny.
Bilardzista przenosi się do innej kawiarni.
Woźnica stara się sprowadzić ją na dobrą drogę.
Myśliwy zaczyna mówić prawdę.
Chemik usiłuje rozwiązać związek.
Telefonista mówi: „Dziękuję! koniec!“...

Z letnich przyjemności.

Panna Helcia, dziewczę wiotkie,
Bladę miało lica —
Ano, trudno — lekarz orzekł,
Żę to jest blednica!

Więc wypadło matuleńce,
Dziewczę swę kochanę,
Wieźć do stacyi klimatycznej,
Zwanej: Zakopanę!...

I cieszyła się mateńka,
Bo córuś po górach,
Z przewodnikiem młodym łażąc,
Miała twarz w purpurach!...

Liczka Helci, wiotkiej Helci,
Zabarwił rumieniec,
A zaś przybladł jej przewodnik,
Choć był chwat młodzieniec...

Minął miesiąc jeden, drugi,
Trzeci *et caetera* —
Liczka Helci znów przybladły,
Znów jej coś doskwiera...

Alę to już nię blednica,
To już pachnię gunią;
I klnię matuś Zakopanę,
Bo ma być — babunią!...

Humor andrusa.

Ulicą Kolejową w Krakowie przeciąga wspaniały kondukt pogrzebowy. Karawan, obwieszony tuzinem wieńców, poprzedzają szeregi duchowieństwa, za trumną setki żałobnych gości. Przechodnie zatrzymują się z rozdziawionemi ustami, przypatrują się ciekawie, rozmyślając nad tem, kto też może sobie pozwolić nawet po śmierci na podobny zbytek.

Pomiędzy widzami znajduje się i mały krakowski andrus, kolporter, który niedawno dopiero zachwalał donośnym głosem swe pismo, wołając: Illustrowany Kuryer codzienny, bardzo ciekawy!... Aresztowanie kota we worku... Wybuch bomby pod pierzyną... Bardzo ciekawy... Przed konfiskatą!...

Obok niego stoi jakiś przejezdny i pyta chłopaka:

— Słuchajno, synku! A nie wiesz ty, czyj to pogrzeb?

— A dlaczegóż nie miałbym wiedzieć? Tego nieboszczyka, dobrodzieju, który tam leży w trumnie!...

Pokazał palcem na karawan, obrócił się na pięcie, zagwizdał i poszedł dalej.

MYŚL.

Do miłości nas skłania
Wiele argumentów
Od kochania zaś odstrasza
Groźba alimentów...

W redakcyi.

Poeta: Czy mogę panu redaktorowi odczytać mój ostatni poemat?

Redaktor: Jeśli jest rzeczywiście ostatni, w takim razie proszę!...

W wagonie.

On: Czy cygaro pani nie przeszkadza?
Ona: Cygaro, nie... Tylko dym z niego!

Z listów Hermogenesa Klapy.

Zakopane...

Drogi Boćku!

Z powodu ogromnego gorąca, które bardzo ujemnie wpływa na mój organizm i tak już mocno zdezelowany, postanowiłem opuścić duszne mury miasta i wybrać się na willegiaturę, naturalnie do któregoś z krajowych uzdrowisk, nigdybym bowiem nie potrafił wywieźć polskich pieniędzy za granicę i napychać nimi wrogich nam kieszeni.

Na decyzyę tą wpłynął także strejk kucharzy w Krakowie i wzmagająca się coraz bardziej drożyzna. Zamiast marnych serdelek lub kiełbasek po czternaście halerzy, będzie sobie człowiek spożywać sympatyczne grzybki, jagódki i jarzynki, zamiast poić się pilznerem, odwilży swe gardło prawdziwem mlekiem prosto od krowy, co tylko dodatnio musi wpłynąć na jego organizm.

Lekarz polecił mi Zakopane, posłuchałem też jego rady, choć Bogiem a prawdą, wolałbym był wybrać się do któregoś z miejsc wodoleczniczych i przeprowadzić tam radykalne przepłukanie mego kiszkociągu. Ostatecznie można to zrobić i w Zakopanem, gdzie na wielką skalę przeprowadza się różne tego rodzaju metody: okocimską, pilzneńską, żywiecką, zdaje mi się, że nawet i nowotarską i myślenicką.

Najpierw zboczyłem jednak do Tarnowa, aby na własne oczy zobaczyć tryumfy polskiego lotnictwa, uścisnąć dłoń dzielnemu hrabiemu Scipionowi, który zdobył powietrze, jak ongiś któryś z jego rzymskich przodków afrykańskie piaski, o które teraz Włosi i Turcy biorą się za łby.

Patryotyczne uczucie rozsadzało mój worek sercowy, że nie tylko Niemcy mogą tryumfować w przestworzach. Zaraz też po przybyciu do Tarnowa wysłałem do cesarza Wilhelma telegram, w którym donosiłem, co następuje:

„Może wam dziś zrzednie mina,
Mamy swego Zeppelina,
Znany on jest w każdym kątku,
Śrubę, całkiem ma w porządku,
I nie mogłem się dość napa-
trzyć na niego! Żegnam! Klapa“.

Depeszę wysłałem *dringend,* wobec bowiem znanego u nas pospiechu pocztowo-telegraficznego obawiałem się, że mogłaby nie dojść do Berlina przed pierwszym sierpnia, od którego dzieli mnie już niecałych dziewięć dni. Wszak telegram z Krakowa do Zakopanego i to do tego z zupełnie dokładnym adresem, potrzebował aż dwa dni, by nie dojść wcale do rąk adresatki!

Ale dajmy temu spokój! Wróćmy do awiatyki!

Zaraz na wstępie, gdy tylko wysiadłem w Tarnowie z wagonu, spotkał mnie pierwszy despekt i to paskudny. Obywatele tarnowscy, dowiedziawszy się skądś, że jestem Krakowianinem, spoglądali na mnie tak dziwnego, że o mały figiel nie wywróciła mi się do góry nogami wątroba z irytacyi.

Uważają się oni teraz za coś wyższego od nas i mają zupełną racyę, Tarnów jest obecnie daleko ważniejszą placówką kulturalną od Krakowa, jeśli nie dlatego, iż leży bliżej Okocima, to już stanowczo z tego powodu, że urządza wzloty aeroplanów, jak Paryż, Londyn, Berlin, Wiedeń. A Kraków sobie na to pozwolić nie może.

Mój Boże — pomyślałem sobie — nie tak to dawno, jak Lwów wszelkiemi siłami starał się dać nam poznać swoją wyższość, nie chcąc się zgodzić nawet na utworzenie w Krakowie inspektoratu pocztowego, dziś bije nas na całej linii i to kto?... Taki marny Tarnów!

Żółtaczki można dostać i czarnej melancholii równocześnie!

Zdławiłem jednak w sobie tę rozpacz, która mnie gryzła i postanowiłem robić do końca dobrą minę, aby nie wypaść z roli i nie dać poznać po sobie, że mi coś dolega.

Udałem się na pole wzlotów.

Na miejskiej targowicy, choć pogoda nie bardzo dopisuje, tysiące ludzi. Zeszli się wszyscy, kto żyje, ślepi, głusi, nawet kulawi. Każdy chciał na własne oczy oglądać te cudy!... Powiadają, że w tym dniu osobne pociągi przywiozły kilkanaście tysięcy ciekawych, nawet z Rzymu, Lizbony, Konstantynopola, Sztokholmu i Kopenhagi.

Z Krakowa jestem ja jeden.

Widzę, że pokazują mnie palcami!

Po chwili zbliża się do mnie jeden z członków komitetu i uchylając protekcyonalnie kapelusza, pyta:

— Pan łaskawy z Krakowa?

— Tak, panie godny! A co to ma do rzeczy?

— Nic łaskawco! Ale proszę bliżej...

— A to z jakiego powodu?

— By pan mógł widzieć wszystko dokładniej... Będzie pan miał o czem opowiadać po powrocie do Krakowa. Wy tam na prowincyi nie widzicie czegoś podobnego, chyba w kinematografie... Tak, panie, niema to, jak żyć w stolicy!

Były to kpiny w żywe oczy, nie wiele brakło, a byłbym go lunął w imbryk, nie chciałem się jednak irytować, bo mi to szkodzi.

Udałem, że nie rozumiem przytyku, zająłem wskazane miejsce, na złość jednak Tarnowianom zamknąłem oczy i nie otworzyłem ich, aż lotnik wylądował gładko, czego domyśliłem się tylko ze salwy oklasków i entuzyastycznych okrzyków...

Chyłkiem wycofałem się z tłumu i podążyłem wprost na dworzec kolejowy, by stąd prościuteńko powędrować pod Giewont.

W drodze rozmyślałem nad tem, czyby nie zrezygnować z przynależności do Krakowa i nie postarać się o obywatelstwo tarnowskie, decyzyę zostawiam na później, gdy moja małżonka powróci ze świeżego powietrza.

Bez jej zgody z zasady nic nie robię!

Dojechałem do Płaszowa i tu poczekałem na pociąg, wiozący stęsknionych małżonków na łona kochających żon.

Wolę nawet na Kraków nie patrzeć!

Każdy wagon, zdaje się lada chwila pęknie, takie przepełnienie. Każdy przedział, to istna puszka ze sardynkami, choćbyś palec chciał włożyć, nie znajdziesz miejsca. Nie wyobrażam sobie, by w dniu sądu ostatecznego mógł panować na dolinie Jozafata większy ścisk i rozgardyasz. Niektórzy panowie pięściami torują sobie drogę, niewiasty narzekają, dzieci płaczą... Jakaś biedna niewiasta dostała się między dwu barczystych jegomościów, którzy ją ścisnęli jak w prasie... „Ach mój tasiemiec!“ — jęknęła i zemdlała...

Cud prawdziwy, że w tych warunkach dojechałem do Zakopanego, zaraz też dałem na mszę św., by podziękować Bogu, że mnie strzegł w podróży. Na sińce i odgnioty, jakie pokrywają me ciało, nie zważam.

Gdy przyjdę do siebie, napiszę więcej.

Klapa.

Cacatum non est pictum.

„Popatrz tato, co ta mała
W pieluszeczki zmalowała!“
Smiał się Jasio z swojej siostry!...
Pan profesor, człowiek ostry,
Formalista, pedant stary,
Wsadził na nos okulary,
Spojrzał w owo malowanie
I synowi tnie kazanie:
„Nie używaj drogi synu,
Fałszywego wskróś terminu,
Znać winieneś owo dictum,
Że — cacatum, non est pictum!“

W teatrze.

— Proszę pani zdjąć kapelusz! Nie widzę wcale sceny!

— Nie mogę, proszę pana! Gdybym go położyła na kolanach, to sama niebym nie widziała!...

Zimna krew.

— Panie! Jak pan może sobie na coś podobnego pozwolić!... Nadszedłem właśnie, jak pan ściskał moją córkę...

— Pan dobrodziej wybaczy... Nie słyszałem wcale, że pan nadchodzi...

Na Zawracie.

— Jaka tu przepaść! Zawraca mi się w głowie... Co byś uczynił, mój Pawle, gdybym tak spadła i zabiła się?...

— Zwaryowałbym chyba z rozpaczy...

— Ale potem ożeniłbyś się po raz drugi!... Powiedz prawdę...

— Sądzę, że do tego stopnia nie zwaryowałbym chyba!

— Jaka śliczna szarotka! Zapewne musiał się pan dość natrudzić, nim ją pan zdobył...

— Tak jest, łaskawa pani! Musiałem po nią jeździć aż do Krakowa!

Złośliwy.

— Panie doktorze, czy to prawda, że dostajecie pewną prowizyę od recept, które zapisujecie?

— Kłamstwo! Bezczelne kłamstwo! Dawniej mogło się dziać coś podobnego, ale nie dziś!...

— A od Wolnego i Horakowej?...

FILIA C. K. UPRZYW. GALIC. UPRZYW.CYJNEGO

BANKU HIPOTECZNEGO

W KRAKOWIE

Wchód z Rynku głównego L. 21

biura parterowe, telefon Nr 361:

Kantor Wymiany sprzedaje i kupuje papiery wartościowe, monety zagraniczne, wydaje listy kredytowe i czeki na zagranicę, wypłaca kupony i wylosowane efekty bez potrącenia prowizyi, ubezpiecza papiery losowane przeciw stracie przy losowaniu.

Oddział depozytowy i Schowki depozytowe (Safe Deposits) w opancerzonych kasach ogniotrwałych.

Przyjmuje zamknięte i opieczętowane kuferki i kasety ze srebrem i innemi kosztownościami przez wakacye do czasowego przechowania.

Oddział wekslowy.

Oddział wkładek gotówkowych w rachunku bieżącym i na książeczki rachunku bieżącego; wydaje na żądanie oprocent. asygnacye kasowe.

Oddział towarowy Składy zbożowe Filii przy ulicy Zacisze. Osobny magazyn tranzytowy. Osobny tor kolejowy.

Sprzedaz węgli krajowych i śląskich.

Wchód z ulicy Brackiej — parter

Oddział zastawniczy i Kasa Zaliczkowa. Pożyczki za poręką, zaliczki na zastaw papierów wartościowych i przedmiotów cennych (ze złota, srebra, biżuteryi i t. d.).

I. piętro — telefon Nr 7

Dyrekcya udziela informacyi w sprawie kredytów budowlanych i pożyczek hip.

Filia Banku Hipotecznego w Krakowie wykonywa wszystkie zlecenia w zakres czynności bankierskiej wchodzące szybko, za opłatą mierną. Na listowne zlecenia lub zapytania udziela odpowiedzi zwrotną pocztą.



Pierwszy Galic. Zoologiczny Zakład „Ornis“

założony w roku 1897



odzn. 16 medalami rząd. i więcejak 250 pierwszemi nagrodami. Właść.: **A. Musiołek.** Sklep: Kraków, ul. Sławkowska 16, naprzeciw Grand Holelu: Hodowla: Dębniki, willa własna. Menażerya: Dębniki, willa „Ornis“ dla P. T. Publiczności otwarta, Zakład poleca po najt. cenach różne rasowe psy i drób, jaja do wylęgu. Harc. kanarki, kolibry, gad. papugi, klatki, żywność i t. d. Wypycha tanio ptaki i zwierzęta. Bogato ilustr. cennik za nadesłaniem 5 hal. marki. **Największy i jedyny zawodowy zakład tego rodzaju w całym kraju.**



A. Hawełka w Krakowie

ces. i król. Dostawca Dworu

poleca winogrona świeże słodkie, jabłka tyrolskie. Porter oryginalny angielski, pięknie musujący, firmy „Barclay Perkins & Co., London“.

Automatyczne aparaty fotograficzne



z którymi każdy laik obchodzić się może, sporządzające fotografie w ciągu jednej minuty od **Kor. 13·—**. Kompletne aparaty fotograficzne (z drzewa, nie papy) z płytami, papierem, chemikaliami i szkołą

K 1·60, 2·20, 3·20, 4·50, 6·20, 9·70

i wyżej (porto osobno). Za dobre obrazy gwarantuje się! Aparaty dla zdjęć miniaturowych, podwójne anastygmaty, aparaty zbytkowne, kupna okazyjne. Automaty fotograficzne z wrzucaniem pieniędzy dla restauratorów etc.

Nadzwyczajne nowości fotograficzne! — Cenniki darmo!

Elfr. Birnbaum, skład przyborów fotogr. **Hirschberg 116** (Czechy)

+ GUMA +

Specyalności dla Pań i Panów! Prawdziwe francuskie dla Panów, I-a gatunek, prawnie zastrzeżona marka ochronna „Kolonia“ najlepsza znana do tej pory marka, 3 szt. K 1·10, 6 szt. K 1·90, 12 szt. K 3·60 wraz z dołączoną, bardzo interesującą, 82-stronicową broszurę z fotografiami wysyła dyskretnie bez podania firmy i zawartości za zaliczką albo nadesłaniem należytości w markach listowych naprzód

Do Rosyi 3 szt. 60 kop., 6 szt. 1 Rbs., 12 szt. 2 Rbs.

J. Kukla, Praga, Perlgasse Nr. 168.

Jedyna fachowa firma. Illustrow., obszerny polski cennik z objaśnieniami i rycinami wysyła darmo i opłatnie w kopercie

NOWO OTWARTY MAGAZYN OBUWIA

ZDZISŁAW ZDANOWICZ

Kraków, ul. Szczepańska 7. Telefon 516

poleca najlepszej jakości i trwałości



OBUWIE DZIECIĘCE

DAMSKIE i MĘSKIE

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Zdzisław Lipiński. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.



— A co, czy nie zachwycająco zbudowana?
— Cóż w tem dziwnego! Toż to córka naszego znanego architekta!